Nr. 32. **Rok 15.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 5. Sierpnia 1848.*



Apollinary Kątski.

Apollinary Kątski.

Podziwia dziś świat wielki geniusz muzykalny Apollinarego Kątskiego, brzmią pochwałami zagraniczne dzienniki; a upojona czarodziejskim dźwiękiem jego skrzypcy publiczność uwielbia go i pod niebiosa prawie wynosi. Nikt w istocie, według świadectwa znawców, tak harmonijnych, tak wdzięcznych i uroczych pociągiem smyczka nie wydobywał tonów; nikt muzyką tak nie czarował, nie porywał za sobą, jak Kątski. Od dzieciństwa samego, bo już od czwartego roku, w którym grał koncert Rhodego, geniusz jego jaśnieć począł i zdumiewać słuchaczów. I jakże nie mieli się zdumiewać i podziwiać talentu znamienitego, widząc małą dziecinę drobnémi przebierającą paluszkami po stronach dźwięcznego instrumentu? grającą z taką łatwością, jak ptaszki śpiéwają. W ósmym zaś roku zyskał pochwały na dworach Europejskich królów i książąt. W r. 1837 z trzema braćmi swymi dawał wielki koncert w Paryżu w hotelu de Ville. Oklaskami a pochwałami okryty młody artysta w czasie koronacyi królowéj Angielskiéj, po trzykroć w pałacu St. James występować musiał.

Paganini słysząc jedenastoletniego Kątskiego w r. 1838, prorokował mu, iż wszystkich przewyższy znanych mistrzów, i wielki Maestro, którego był uczniem, postępy jego podziwiając, własne skrzypce i wszystkie kompozycye w spadku mu zostawił.

W Paryżu uznano go arcymistrzem, i wszędzie okrywano go oklaskami, obecnie zaś jest w Niemczech.

Okryty zasłużoną sławą, obsypany pieniędzmi, nie zapomniał Kątski o tysiącach biednych i opuszczonych, którzy wsparcia cudzego wyglądają, i chléb żebrany łzami gorzkiémi zlewać przymuszeni. Znaczne dochody z koncertów w Nantes, w Bordeaux, Bagueres i Neuilly, poświęcił na założenie sali przytułku (salle d'asyle) w Nantes. Wdzięczni mieszkańcy zakład ten zakładem Kątskiego nazwali. Miasta zaś: Vannes, Amiens, Brest, Laurient, Angers i inne uczciły go medalami i dziękczynnémi adressami. — Nie tu jeszcze koniec jego wielkoduszności, kiedy bowiem, dla ostatnich wypadków, ujrzał braci swoich w największym niedostatku wracających do Francyi, bez wsparcia, bez przytułku, aby im dopomódz, dawał koncerta w Strasburgu, Moguncyi, Frankfurcie, w Hanau, gdzie wpadł na tę szczęśliwą myśl, dania koncertu dla ludu, za biletami po 6 krajcarów. Tysiące słuchaczów się zebrało, których tak zadowolnił, iż pod oknami wyprawiono mu serenadę, a dochód cały oddał rodakom tułającym się po obcéj ziemi. Kto tak geniuszu swego użyć umie, kto nie szuka z niego próżnéj i znikoméj chwały tylko, ale szczodrze wspiera nieszczęśliwych, osusza łzy, ten wiekopomnéj godzien sławy. — Słuchajmy, co jeszcze Oettinger, redaktor Charivari, który słyszał wszystkich, jak powiada, matadorów skrzypcy: Włochów, Francuzów, Niemców, Duńczyków, i Polaka Lipińskiego; iż nigdy nie przyszło mu na myśl porównywać ich między sobą, jednego tylko Kątskiego z Paganinim porównywa. Smyczek jego jest talizmanem, mocą którego leją się dźwięki błogiem balzamem w rozbolałe i rozdarte serca, występuje w tak ujmującéj postawie i czarodziejskiéj, iż słuchając go nie oledwie dech by zatrzymywać trzeba, aby nie uronić ani jednego tonu, ani jednego dźwięku.

Wynalazł tak zwane: Pizzi-arco, którego wprawdzie już inni mistrzowie używali, osobliwie Paganini, lecz nie w takiéj rozciągłości, „bo kiedy prawa ręka jego popędza smyczek po strónach w najtrudniejszych pociągnieniach, wtenczas jeszcze jednym palcem téjże ręki wybrzękuje ze strón kompletną partyą, Pizzicato, przez długie passaże, a tak zdaje się jakoby kilku razem grało.“ (Gaz. Pol. Nr. 126.)

Dantan malował Liszta z dziesiącma palcami, Kątskiego zaś możnaby z dwiema rękami u każdego ramienia przedstawić, osobliwie gdy gra Karnawał we Wenecyi, kiedy wygrywa pieśń Szuberta, wtenczas serca słuchaczów porusza do śmiechu, lub płaczu, według upodobania. Były minister Karola X. opisał Kątskiego w następującym wierszu, który mu w album zapisał:

Quand le chant pur gronde et bouillonne;
Quand l'agile voix tourbillonne,
Et des sons trompe la lenteur;
Quand son archet, joyeux chanteur,
Court sur la corde, qui redonne;
Quand, docile à son art menteur,
Le bois muet pleure et frissonne,
On dirait le diable en personne...
Mais non; ce n'est qu'un enchanteur.

Ciekawy może kto będzie się dowiedzieć, gdzie się Kątski urodził; oto w Warszawie w r. 1826. Geniusz muzykalny zdaje się być własnością całego rodzeństwa, bo i trzéj bracia jego i siostra o pierwszeństwo ze zagranicznymi mistrzami się ubiegają. Są to potomkowie owego sławnego w dziejach naszych Marcina Kątskiego, najprzód kasztelana Lwowskiego, generała Podolskiego i artyleryi koronnéj, daléj wojewody Kijowskiego, który wsławił się, począwszy od lat najmłodszych, we wszystkich swojego czasu wojennych wyprawach pod Barem, Żurawną, Chocimem, Wiedniem, gdzie od mieszkańców w dowód wdzięczności szablę w darze otrzymał.

Wycieczka nad Wartę.

(Ciąg dalszy.)

Oglądawszy osobliwości miasta od niskich w ziemi ukrytych jamek strażników wódki, aż do wysokiéj stolicy bocianów wieży kościelnéj; od skromnych płotów rogatek zachodnich, do szczątków warownego wybrzeża, zajrzałem i do mieszkań ludzkich. Były tam jeszcze zabytki dawnych owych domów drewnianych, które wązkie a długie przytulają się jeden do drugiego, jako owieczki wychylając głowy i czoła ozdobne różnémi szczytami niby rozsochą lub rogami, w jednę stronę, ku ulicy, ku rynkowi, a tyły wlekąc za sobą po wązkich, brudnych podwórkach. Ciepło i ciemno w tych domkach i zdrowo, ale skromno. Nie masz tam śladu postępu u owego wieku w meblach, lustrach, oknach, piecach. Znaczna część ulic jednak murowane posiada domy, jaśniejsze, wygodniejsze, ale ciche jak groby, więcéj życia i gwaru w drewnianych domkach niż w kamienicach; jak gdyby duch ludzki i życie narodu prześladowane unikało światła, bojąc się zdrady. Wstąpiwszy do cukierni, nie zastałem w niéj jak może z mędel ciastek i półtora karmelka; flaszek było nieco więcéj, gościa ni jednego; o gazetach, żurnalach ani myśleć. Za to obrazy hosudara i hosudaryni i Alexandra i t. d.

Ruchu, życia po ulicach nadaremnie szukać. Wszystko tak jakoby w przedpokojach książęcych, gdzie słudzy chodzą na palcach, gdzie się każdy ogląda, każdy półgębkiem mówi. Z jednego tylko domu tłumione tony gitary i śpiewu dolatywały mnie. Żydów Bogu dzięki nie wiele się wałęsało po ulicach i bez najmniejszych pretensyj, jakie u nas pokazują. W targowy dzień wszystko tak skromnie, tak po cichu zachowywało się, jak na pogrzebie. Włościan nie wiele, zuchowatych postaci nic prawie; kobiety nawet nie gwarzyły tak, jak to gdzie indziéj. Ledwo o kilkanaście kroków słyszałem gwar ludu, kiedy u nas od końca do końca miasta rozlega się wrzawa, słychać okrzyki, żarty, wesołość i nieraz kłótnie. Wrodzona Słowianom wesołość pod żelazném berłem w części znikła; rząd despotyczny odarł serca ludu z przyrodzonéj zalety, zabił piękne przymioty, którymi Stwórca Wszechmocny udarował umysły. Morderstwo takie gorsze jest zapewne od mężobójstwa; bo to ciało zabija, a niewola duszę poniża, psuje, i powolnym upadkiem spycha w brudy egoizmu, zwierzęcości.

Smutne te postrzeżenia obudziły smutek w duszy, żal nad narodem marniejącym. Uczciwy pan Ignacy widząc to, starał się mnie rozweselić i był po temu człowiek. Zaproponowawszy przechadzkę nad wodą celem skąpania się, wyprowadził nas z miasta, brzegami Warty, aż ku okopowi Szwedzkiemu, usypanemu wśród smugów i zarośli blisko miejsca, gdzie od wschodu bieżąc Prosna w Wartę wpada.

Piękna to przechadzka po nad szemrzącą wstęgą Warty, gdzie łąki, wzgórza i krzaki wierzbowe urozmaicają drogę i widok. Umiał téż drogę słodzić gawędką, szczególnie opowiadaniem sprawek własnych, z lat młodości. Najzabawniejsze były figielki jego z żydami Pyzderskimi. Dla przykładu jeden przytaczam.

„Były to Mospanie Polskie czasy, t. j. za księstwa Warszawskiego; a stał wtedy u nas pan T. W. (*), młody, wysoki, przystojny mężczyzna, który nie lubił opuszczać żadnéj sposobności do awanturek wesołych i dziwny miał instynkt w takowych sprawach. Więc téż młodzież do niego lgnęła, a ja, jak gdybym drucha znalazł, tak go sobie polubiłem. Bez nas rzadko się obyło, czy to wesele, czy bal, czy jaka inna uroczystość, lub schadzka, bądź w mieście, bądź w okolicy.

„Zdarzyło się tedy Mości Dobrodzieju, że

(*) później radzca ziemiański.

żyd jakiś bogaty córkę wydawał za mąż. Nie podobna nie być na żydowskiém weselu, ale żeby téż pamiętném było i dla Kały i dla gości i dla nas, trzeba coś spłatać. My tu po rozum do głowy; a wpadłszy Mości Dobr. na szczęśliwy koncept, a cale oryginalny, już tedy naprzód cieszymy się i śmiejemy. Gotowe wszystko. Było nas kilku młodzieży, każdemu zlecenia tajemne dano. Już na pokojach godowych, które nota bene nie były na piętrze, tylko porówno z ziemią, a z jednego do drugiego wchodziło się; z sieni zaś tylko jedne były drzwi; okna niskie na ulicę — już Mości Dobr. mówię, na pokojach goście byli zgromadzeni — wszystko w najlepszym humorze — żydówy wystrojone gdyby na zielone Świątki w Poznaniu — świecą złotemi materyami, koronkami, jedwabiem i czart wie czém — a żydki tylko tak przymrużają ślépie — nie jeden zyzowate — i przechadzają się z pokoju do pokoju — i przymilają jak mogą, szwargocąc przez nosy — a stare żydy w długich, czarnych kaftanach, jarmułkach, białych pończochach i trzewikach, dyamentowemi szpinkami obsadzonych — poważnie sobie stoją, głaszcząc siwe brody i kręcąc powrózkowate, wiszące pejsy. — Mości Dobr. a my jak lisy kręcimy się tam i sam, i swoje robim. Jeden coś rzuca pod łóżka, w kąty, za piec; drugi coś koło drzwi robi, niby świdruje; trzeci zagaduje nadchodzących, i tak każdy baczny na wszystko, co się ruszy, pomaga drugiemu w zamierzonych przysposobieniach. Kto zgrabniejszy, przymyka się, i niby to przypadkiem ocierając się o przechodzącego żydka — wpuszcza mu coś do kieszeni — słowem, bardzo ślicznie wszystko idzie; — żydy nic a nic nie wiedzą, nie widzą — nie domyślają się figla. Nuż w taniec. Muzyka rzempoli, żydowstwo, zagrzane trunkiem i wesołością, kręci się i wywija — my także nie ostatni — aż tu Mości Dobr. za danym znakiem jeden z nas oblatuje pokoje cichaczem; drugi szukając zaczepki, jak porwie żydówkę do tańca, jak pacnie tancerza, że się potoczył i brodą na podłodze utkwił — rozruch, hałas — wtém: awaj, awaj! z alkierza krzyczą — wypadają z tylnego pokoju — ny — co to? gwalt! — patrzą — jasno — tu nowy strach: buchają ognie, pryskają iskry z pod łóżek, z za pieca — zgiełk i zamieszanie. Kobiety chwytają chłopów swych za poły, obrywają sobie chustki, chcąc się zasłonić, ratować przed ogniami, co po podłodze skaczą jak żaby. — Już się jeden czépek zajął — dym — trzask, wrzask, syk i kwik ze wszech stron — stare i młode żydy wrzeszcząc, popychając się hurmem do drzwi — a tu Mości Dobr. jak się sypnie ogień z kółek obracających się na obydwóch brzegach — darmo, przejść nie można przez te iskry i dymy — nowe krzyki — szturchanie i ciżba — nie jeden na ziemię padł — pracuje rękami i nogami pod stopami depcących go sąsiadów. Hałas jak na sądnym dniu w bóżnicy. My ledwo nie pękając z śmiechu, pomagamy krzyczeć, aż w końcu żadnego ratunku nie widząc, żydkowie do okien biegną i wytłukłszy łbami i sobą wszystkie szyby, i wywaliwszy kwatery — całe żydowskie wesele oknem wyskoczyło. Jakie na drugi dzień śmiechy z jednéj strony, a gniewy z drugiéj — to trudno opowiedzieć; — że się dorozumiewano sprawców téj awantury, rzecz jasna, — ale dowieść trudno było, bośmy jeden drugiego nie wydawali. Więc Mości Dobr. dość się tam okopciło lub zatliło z czépków, czuprynów, fraków żydowskich i t. d., tego nie wiem, ale cały figiel był wart téj garści prochu, tych szmermelów i żabków, któreśmy żydom na wyprawę wsadzili w kieszenie i pod łóżka. Do dziś dnia nie jeden awanturkę pamięta, i spluwa, gdy mu ją przypominam."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Śmierć Jędrzeja Śniadeckiego.

Szczyci się Wielkopolska, że była kolébką obu Śniadeckich; szczyci się Litwa, że była polem ich działania i błogiego wpływu. W niéj to ci męże rozkrzewili zasady światłéj filozofii, zgodnéj z zasadami św. naszéj wiary; w niéj zaszczepili owe zamiłowanie do nauk, jakie mimo zarzuty uniwersytetu do drugiéj generacyi przetrwało na Litwie; oni nadali téj części naszéj ziemi ten popęd nie tylko ku nauce, ale i ku cnocie, jaki szczególniéj Litwinów odznacza. Bo któż co znał Litwinów nie wié od razu, że w każdym znajdzie żywą i czynną wiarę, gorącą miłość do kraju, uczciwość w postępowaniu, wielką uprzejmość w obejściu, a przyjaźń niezłomną. Nic w nich szorstkiego,



Dawniejsze więzienie w Pyzdrach, dziś szpichlerz.

nic dumnego; a wszystko tak głębokie i prawe zdradza skryte uczucia, tak rzewne i tkliwe.

Działanie tylu innych znakomitych młodszych professorów, jak Lelewela, Gołuchowskiego, Mickiewicza, wstrzymaném zostało przez prześladowania, przeciwnie obu Śniadeckich trwało bez przerwy, aż do ich końca. Mężowie ci dwaj, zarówno się odznaczający, cnotą, miłością kraju i nauką, rozróżniali się jednak w jednéj, a to w głównéj rzeczy, t. j. w wierze. Jan był rzadkiéj pobożności, i codziennie od wysłuchania mszy św. prace swe naukowe i zawód profesorski zaczynał. Od 5téj rano zimową porą z latarnką dążył do kościoła; a życie jego wizerunkiem było chrześcianina. W bezżennym pozostając stanie, odznaczał się rzadką przykładnością obyczajów. Brat jego Jędrzéj przeciwnie, wiele pociech doznawał w małżeństwie, miał i szczęście wydania swéj córki za zacnego Michała Balińskiego, który tak uczcić umiał pamięć Śniadeckich; atoli zachwiała się w nim była wiara, i zaniechał jéj zbyt długo oddawania winnéj czci Panu Bogu, według śś. jego ustaw. Zachowywał on atoli wiele z jéj przepisów, szczególniéj miłości bliźniego, bo słusznie go za wielkiego jałmużnika Wileńskiego poczytywano. Nie było téj chaty na przedmieściach, ani tego poddasza w mieście, do któréjby nie pospieszył pierwszy pan Jędrzéj, skoro się dowiedział, że nieszczęśliwy pomocy potrzebuje. Łącząc przezorność z dobroczynnością, wszędzie szedł naocznie przekonać się o nędzy, wszędzie z ubogim rozmawiał, naradzał się z nim nad sposobami wydobycia go z nędzy, zawsze jakiś sposób do życia wymyślił, a nim zdołał znaleść jakie miejsce lub zarobek dla niego, z własnych go opatrywał funduszów. Miał on tę dobroczynność przemyślną, która nieszczęśliwym pomaga najwięcéj, bo ich skłania do zaradzenia samym sobie, która ich z razu wspiera pomocą, a potém dobrą radą, która léczy z lenistwa i z próżniactwa, i sprawia, że zamiast opuszczenia, poprawa następuje zupełna. Cnoty te wielkie Jędrzeja Śniadeckiego połączone były z pokorą, nie wiedziała bowiem lewica, co czyniła prawica; tak kryć umiał swe dobre uczynki, atoli skarbiły mu one codziennie u Najwyższego szczególną łaskę dobréj śmierci, któréj mi szczegóły opisał jeden z jéj świadków, przywiązany uczeń jego. — Pan Jan nieraz brata napominał, aby się nawrócił szczerze do Boga i sięgnął po nagrodę za tyle cnót chrześciańskich, które życie jego zdobiły, a gdy ten z pobożności jego co zażartował, odpowiadał: „Jam te prawdy w gwiazdach przeczytał, a tyś to tak się zapatrzył w twój tygielek, żeś oślepł nad nim zupełnie.“ Tak się nieraz astronom z chemikiem rozprawiali, atoli rady brata były bezskuteczne, lata i dziesiątki mijały, a Jędrzéj nie był się z Panem Bogiem pojednał. Nadeszła ostatnia choroba: Śniadecki bystrém fizyologa okiem wszystkie jéj śledził symptomata, niby w kim obcym, léczył się z razu, lecz spostrzegł się, że choroba przemoże. Członkowie fakultetu i uczniе nieśli mu swoją pomoc, nawet mu boleśne operacye i moxy zaproponowali, atoli pan Jędrzéj powiedział im: „Nie, już mnie od grożącéj gangreny nie uratujecie, ale że jeszcze kilkanaście godzin do życia pozostaje, czyńcie co chcecie, dla własnego przekonania.“ Poddał się spokojnie lekarskim doświadczeniom, które przepowiednią jego ziściły. Już widoczném było, że śmierci nie ujdzie, rodzeństwo i domownicy krzątali się koło niego, oczy topiąc w szacownych licach tak zacnego męża, tak czułego ojca, tak światłego nauczyciela. Wtém wchodzi dawny kolega szkólny Jędrzeja, Dominikan; czule się powitali, i w przyjacielskim dyskursie, zakonnik żegnając się z przyjacielem dziecińbstwa, a wskazując mu smutek dzieci, smutek tém większy, że się więcéj stokroć bały tego uporu ojca w odrzekaniu śś. sakramentów i wiecznego jego potępienia, aniżeli tak bolesnéj straty doczesnéj, — dodał: „a gdybyż cię zawiodły twoje mniemania o tamtym świecie, gdyby te prawdy, które odrzucasz, nagle ci zajaśniały, a potępiły cię: wierzaj mi, dla spokojności i własnéj i rodzeństwa twego, skrusz się, wyspowiadaj twe grzechy: takiéj pociechy staniesz się powodem; bo czyż owe dobre imię, jakie dzieciom zostawisz, wynagrodzić zdoła okropną obawę o twe wieczyste zbawienie?“ — Słowa te proste, szczére, więcéj wymogły na Jędrzeju, niż najwymowniejsze kazania; chwila to była ostateczna łaski Bożéj, która tylekroć daremnie do serca jego kołatała, aleź jéj teraz nie odrzucił. — Zmiękczyła go pokora, i od razu stanęło mu w oczach całe pasmo życia, i uznał tę pychę, która sprawiała, że tyle lat ciągle dobre uczynki swoje, oraz popęd ku dobremu, sobie a nie Bogu przypisywał; spadła

na raz z oczu gruba zasłona owéj dumy, któréj nie raz ludzie największych poświęceń otrząść nie umieli, a która ich pozbawia częstokroć jedynéj, bo wieczystéj nagrody, za wszystkie trudy życia. Poznał Śniadecki swe winy, i wyznał je z skruszoném sercem; oddawna to tłoczył ciężar jego sumienie, bo kto się z katolickich rodziców urodzi, w katolickim żyje kraju, nie zdoła nigdy zagłuszyć sumienia, co mu wzbrania nie tylko zaniedbywania, lecz nawet oziębłości wszelkiéj w wierze ojców naszych. Nie zdołała nauka najgłębsza, ani głębokie pomysły, któremi Jędrzéj Śniadecki się zbogacał; nie zdołał wpływ błogi, jaki na młodzież wywierał; nie zdołały i owe dobre uczynki bez liku, sumienia jego zaspokoić, przez ciężkich lat tyle; a dokonały to jednak kilka słów przebaczenia i rozwiązania grzechów, jakie usta Dominikana wyrzekły. Jakież niewymowne, niepojęte szczęście z takiego rozgrzeszenia w serce jego nastąpiło; a jakiż nadmiar szczęścia, jakie przeczucie wiecznéj szczęśliwości go ogarnęło, gdy Bóg i Zbawiciel osobiście zstąpił w jego łono. Miał on Boga swego zakładnikiem, że skoro wycierpi kary za winy i przestępstwa, złączonym z nim będzie na zawsze. Nie, nie mógł Jędrzéj wytrzymać tego nadmiaru szczęścia, i rzewnémi łzami się zalał; gdy przyjaciele obstąpili chorego, krył pod kołdrą łzy swoje, i twarz wzruszoną, zarumienioną; powtarzał z uniesieniem, że nigdy takiego szczęścia nie doznał, nie pojmował. Widok ten wzruszył wszystkich przytomnych i utwierdził ten duch pobożności, który się dzisiaj w wnukach nieboszczyka odzywa; zbudował jego uczniów, i czego zaniedbał w ciągu życia, to śmierć jego naprawiła. W kilka godzin po przyjęciu Ciała Zbawiciela, skonał w Bogu mąż ten znakomity, któremu Pan Bóg najwyższą dał nagrodę, bo dobrą śmierć.

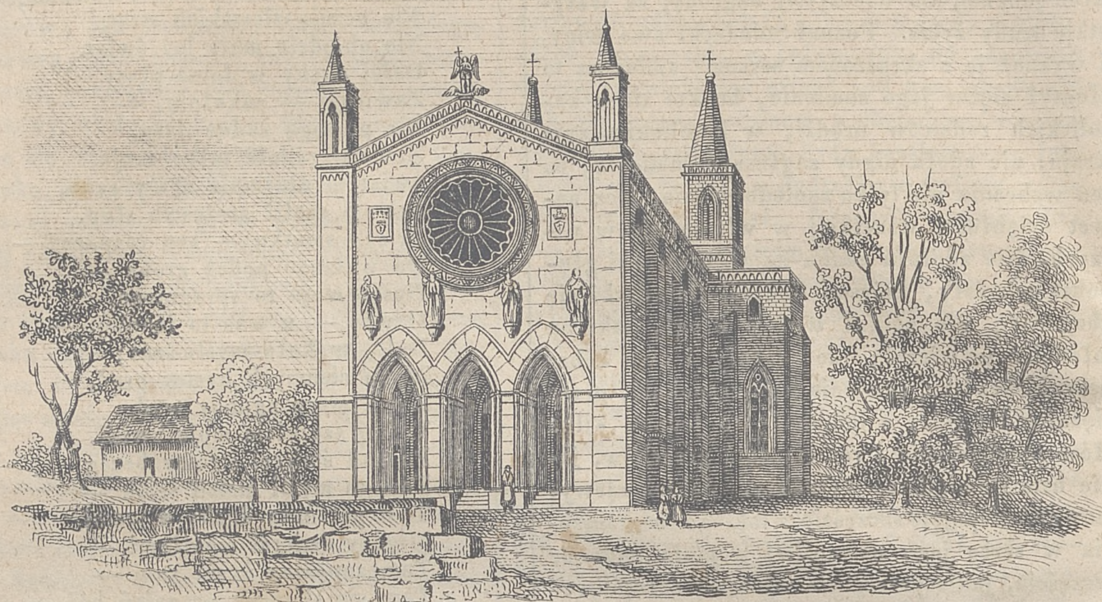
† †.

---

* * *

(Ułamek.)

Daléj duchy w koło tańczcie,
Wnijdźcie na mogiły szczyt,
A ztąd niknijcie w świata krańce,
Nim jutrzenki błyśnie świt.
I pohulam ja téż z wami,
Między śmierci mogiłami. —
Tam pobujać o jak miło,
Po nad ciemną tą mogiłą —
Daléj duchy — tylko żwawo,
Choć i łzawo — choć i krwawo,
Nie uczuję ziemskich strat,
Nie obejdzie mnie już świat.
Daléj duchy w lotne pląsy
Zawiruję — zakołuję. —
Nie pomogą żadne dąsy,
Z wami radość tylko czuję.
Świat to dla mnie żywy grób,
Już się spalił szczęścia słup.
Ja syn smutku — syn rozpaczy —
Do waszego pędzę grona —
Dusza moja to spragniona,
U was — u was to inaczéj. —
Daléj w koło myśli szał;
Myśli ciemnych bystry prąd,
Życia mego zgubny trąd,
To mi szczęście moje zwiał.
Po nad śmierci stromy brzeg
Tam to myśli moich ściek —
Tam potańczą duchy z wami
Między śmierci mogiłami —
Tam zapomnę życia znój —
Tam się skończy pragnień bój —
Tam ugaśnie żądzy skra —
Tam zaświéci gwiazda ma.
Waszą dłoń podajcie mi —
Piekło całe niechaj drzy —
Powiruję ja na wieki
Z wami duchy w kraj daleki. —
Lecz o duchy! śmiech szyderczy,
Śmiech litości weźmie was. —
Czemuż żądasz — pragniesz śmierci,
Kiedy życia jest twój czas?
O! wy duchy — wy nie wiecie
Co to życie jest na świecie,
Kiedy rozpacz poszaleje,
Kiedy zgasną już nadzieje,
Kiedy zdrady wąż się zżyma,
Złości błyska wciąż oczyma.
Gdy napojem jad obłudy,
Szaty świata jeno brudy —
Oj to w ten czas serce boli,
Między wami żyć się woli.
A gdy w domiar nieszczęść tylu
Co najdroższém legło w grobie,
Kiedy z każdą życia chwilą,
W pośród cierpień i w żałobie
Konwulsyjne trzeba widzieć
Drganie matki, onéj Ojczyzny,
I otwarte jéj blizny —
O to cieszyć się daremno —
Jeno śmiać się — łzawo szydzić,
W przepaść patrząc łez bezdenną.
A więc hucznie i burzliwie,
Tańczcie duchy na téj niwie;
Niwa ta to wygładzona,
Śniegiem świéci kość tu biała,



Kościół w Krzeszowicach pod Krakowem.

A otacza ją korona,
Z cierni, głogów zwita cała.
A te ciernie — a te głogi,
To krwią ludu są skropione;
Wytoczyły ją to wrogi,
Wściekłą dumą uniesione.
Krew ta gasi ich pragnienie,
Krwią tą myją swoje ręce,
By to jeszcze coraz więcéj
Wytoczyli krwi strumienie.
Patrzcie duchy — ot oprawcy
Wyciągnęli matki ciało,
Na śmiertelnym już całunie. —

. . . .
. . . .

(Dokończenie nastąpi.)

Kościół w Krzeszowicach.

Krzeszowice, wieś we województwie Krakowskiém, trzy mile na zachód od Krakowa, leży w nader pięknéj okolicy, w pobliskości zamku Tenczyna. Znakomita przez swoje wody mineralne, odkryte przy końcu wieku zeszłego, 1780 r. przez doktora Leonharda. Ozdobiona pięknym kościołem, którego rysunek zdjęty w roku 1847 przez Balickiego tutaj przytaczamy.

Nowiny literackie.

U Ernesta Günthera w Lesznie i Gnieźnie wyszły następujące książki:

1. *Pieśń o narodzie cierpienia,* przez Stanisława Marońskiego, 8vo, str. 39, cena: 7½ śgr.; warta czytania.
2. *Xiądz Józef Bogobojski,* czyli: *Moc religii chrześciańskiéj w zasadach wychowania i nauczania,* przez Felixa Kozłowskiego, Dr. ob. Pr. Tom. II. 8vo, str. 469. 1 Tal. 20 śgr.
3. *Nauczyciel,* czyli: *Przewodnik chrześciański, wskazujący drogę do chrześciańskiéj doskonałości.* Z Łacińskiego. Cena: 25 śgr.
4. *Powiastki dla dzieci.* Z Niemieckiego, Szmida. 1848. Cena: 4 śgr.
5. *Przyjęcie dzieci do pierwszéj spowiedzi i kommunii św.,* przez X. J. Szuberta. Cena: 5 śgr.



Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: X. *Fr. Wawrowski.*)